



Polka

Robert Król Polka

ówze

I.

Słyszę przez ścianę, jak Mackiewicz nakręca zegarek.
Robi to, siedząc w fotelu albo na kanapie, bo sprężyny
uruchamiają się jednocześnie, jakby uczestniczyły
w plebiscycie roszczeń, rezygnując z wzajemności
i zbytecznych komplementów. Noc zagląda do okien.

Ciemno w blokach. Ale ulica została wynagrodzona
rozlicznymi podarunkami ze światła i cieni, pociąga
do odpowiedzialności emblematy po błyskawicznym,
szerokopasmowym deszczu, po ludzkich działaniach
sprzed kilku godzin. Bezpańskie psy w podworcach.
Niczyje kobiety w bramach. Polują na zło i lichwiarzy
o grubych portfelach i rozbieganym, tęsknym wzroku.

Motorniczy, który gmera metrowym kluczem pomiędzy
szynami, wygląda jak ponury stomatolog w krótkim
rękawku, rewidujący ochoczo stan szkliwa, szacujący
grubość nalotu, aktualizujący ubytki. Ale tam nic nie
ma. Nie znajduje miejsca pod wypełnienie, więc wraca.
Ze smutkiem uruchamia skład, w wielkim przygnębieniu
opuszcza skrzyżowanie, żeby bez zwłoki pojawić się
na kolejnym. Tam też staje na rozmytym czerwonym.
A tymczasem na półpiętrze cicha woda, chuda, niska,

przygarbiona śmierć. Chadza samotnie w dziurawych podomkach. Podmienia wycieraczki z nazwiskami sąsiadów, żeby nic się nie zgadzało. Palcem zgarnia kurz z poręczy. Albo gości przez chwilę w telewizorze jako szum i śnieg, czasem rozedrgany obraz, szorstki, zniekształcony głos komentatora, przechodzący przez stropy, przez powoje magnetowidu i antenę. Gubi się w zeznaniach. Myli dni tygodnia i miesiące.

To Falkowska spod szóstki. Od tygodnia bezdzietna, pozbawiona wyobrażeń i snu, zbudowana z płaczu, który zaczął pojawiać się nawet w naszych progach pod postacią odbić i dźwięków plądrujących kredensy, szukających miejsca dla siebie gdzieś w szklankach przy zlewozmywaku, w cylindrycznych cukiernicach pochodzących z wioski, która głuźnie nad brzegami Bugu. Naprawdę nic z tego, że wieczorami kasztanowce wciąż stukają wszystkim w okna, że słyszać lekkie poruszenia liści u szczytu koron, jakby kto wprowadził do środka dmuchawę, jakby uruchamiał mechanizm i napędzał wewnątrz. Nic z tego, skoro stara Falkowska przestała zauważać odważne, adoptowane bliźniaczki Strzyckich, na które jeszcze do niedawna pokrzykiwała. To one, stęsknione nagan, wypatrujące ponownych holowań do domu za przekrwione ucho, wyglądające targania za grzywkę, to właśnie one wchodzi na drzewa i potrząsają na wysokości konarami, chcąc zrobić jej na złość. Szeleszczą listowiem, naśladują kukułkę albo gawrona. Prowadzone do ojca w obstawie wesółych kolegów, myślą jeszcze skrycie o bezwarunkowych klapsach, przemyconych gdzieś na klatce schodowej. Ale Falkowska ma w pamięci rozpędzoną karetkę

pogotowia, która wpada na sygnale w światło wiaduktu.
Widzi białe kitle, wyglądające jak dwa parciane worki
i sylwetki ludzi przypominających bladą twarz syna.
Jego bezdech, szczupłe ciało, już niemal zeszytwniało,
lecz jeszcze ciepłe, opanowane pasami, przewiązane
sznurkiem jak upragniona paczka słodczy z Kanady.
Przestała się nawet podmywać. Pachnie zwykłą szmatą,
w którą weszła nafta, benzyna i ocet. Żrąca, żółta ciecz.

Wczoraj o balkoniku ruszyła na cmentarz. Zapragnęła
ponownie popatrzeć na kopczyk ziemi, bo od kiedy
wstała, zwykły szpadel nie chciał wyjść jej z głowy.
Miała nadzieję, że wsunie go w dołek, tak na wszelki
wypadek, gdyby się obudził, gdyby zaczął oddychać.
Nie takie rzeczy ludzie wkładają do grobu, nie od dziś.
Bo żeby nawet kłamkę i krzesło, kierownicę, kredki?
A chłopak był ruchliwy jak żyłka na szczytowej przelotce.
Życie mu ciekło przez palce i monochromatyczna
codziennność musiała dzień po dniu ziszczać marzenie
o miłości pod postacią kilku papierówek w porze
podwieczorka, od matki, żeby ta mogła stanąć nad nim
i pokiwać głową, podstępna i siarczyście klnąca na święty
krzyż przydrożny, na ręce, które go kiedyś stawiały.

Teraz klnie na swoje własne i przymiera w duchu.
Mówi: mój kres i moje zmartwienia, dwa ogromne
pudła zabawek, rysunki z przedszkola, stosik jasnych
zdjęć. Jasnych od szczerych, pięcioletnich uśmiechów,
od poświaty z pierzyny, przyjmującej słońce w bliskim
tle. A dalej wielkie obłoki, jak obietnice szwajcarskich
kurortów. Niebo, jak pusty balonik, dotykające ostrych
zwieńczeń dachów, gontu i anten. Niedoprana szwedka

z naszymi najlepszymi kapel, przenajświętszy,
nietykalny obraz Faustyny. Zwolnione łóżko i pościel.
Wieszaki jak rzędy poutrącanych marszałkowskich
buław. Na komodzie nakręcany budzik i jego cyfrowy
zastępca wpięty do kontaktu. A wszystko to gotowe,
oczekujące na jakiś ruch, który miał się pojawić jeszcze
przed pierwszą kawą. Ale nic się nie wydarzyło, nic.